Przerwa trwa niespełna godzinę, po czym ruszamy dalej. W końcu docieramy do Toukoto. Tutaj ponownie gubimy drogę, a w odnalezieniu właściwej pomaga nam grupa wioskowych dzieciaków. Najpierw nie słuchamy ich i zjeżdżamy prawie do rzeki. Ale widzimy most kolejowy, więc zastanawiamy się – jechać wpław czy skorzystać z mostu. Ja ruszam na rekonesans, a dziewczyny pilnują samochodu i zajmują się dziećakami. Stojąc na moście widzę, że rzeka jest całkiem spora, ma dobre 400 m szerokości, chociaż tylko odcinkami jest pod wodą, a na końcu jest dość problematyczny wjazd. Wracam do dziewczyn i kuli w przerażeniu cofam samochód i próbuję wjechać na most. Auto jest mocno przeciążone, bo na tylnym zderzaku jedzie z pięcioro dzieciaków. Wjeżdżamy na most i pomału ruszamy naprzód. Dziewczyny zachowują się nieco nerwowo. Trudno się im dziwić – most jest dość długi a w każdej chwili może nadjechać pociąg – no, może nie w każdej – kursuje podobno tylko dwa razy w tygodniu.

Jedziemy dalej, mijamy wiele przeszkód terenowych, mijamy wiele wyschniętych rzek (tych które są całkiem konkretne – w porze deszczowej nasza „Dyskoteka" nie miałaby tu żadnych szans), mijamy również kilka osad i docieramy do Badoumbe. Mamy nadzieję, że dalsza droga będzie już nieco lepsza. Mamy już dość, ale droga dalej się pogarsza – robimy więc jeszcze ok. 30 km, wraz ze zmierzchem decydujemy się na nocleg w pobliżu małej osady. Rozbijamy namiot. Budowa obozowiska realizowana jest w asyście wszystkich wioskowych dzieciaków – dla nich musi to być nie lada atrakcja, dla nas ich zachowanie jest nieco denerwujące. Nerwy puszczają mi w momencie, gdy włażą na dach samochodu i po nim skaczą. Po interwencji mamy już właściwie spokój prawie do rana. Tuż przed rozbiciem obozu przez nas mija nas pociąg – wygląda strasznie – podróż nim z Bamako do Dakaru trwa od 30 do 50 godz.

W nocy budzi nas wielki hałas. W pierwszej chwili mam wrażenie, że to maszyny budowlane przejadą po naszym małym namiociku, ale szybko sytuacja się wyjaśnia – to tylko kolejny pociąg (a miały być dwa w tygodniu, a nie dwa dziennie).
Wstajemy wcześnie żeby zdążyć przed pobudką we wsi. Udaje się nam zwinąć namiot, zanim chmara dzieciaków nas zaatakuje. Wczoraj udało się nam zrobić niecałe 150 km. Przemieszczamy się strasznie powoli – coraz poważniej zastanawiamy się, czy zdążymy na lotnisko. Mozolnie posuwamy się dalej – czasem nasza droga wiedzie po starym (jak się nam wydaje) nasypie kolejowym – wtedy możemy jechać nieco szybciej – niemniej, cały czas musimy uważać bo na starym nasypie nie zachował się żaden mostek. Tak docieramy do Kale. Tutaj jest następny przystanek kolei. I ponownie mamy nadzieję, że zacznie się lepsza droga. I ponownie – są to płonne nadzieje – właściwie droga jest jeszcze gorsza niż dotychczas – a co więcej, gubimy ją

i trochę czasu upływa, zanim udaje się nam wrócić na trasę.

Znowu mijamy kilka wiosek, doskwiera nam upał i zmęczenie. Mamy już serdecznie dość. Po kilku godzinach jazdy docieramy do miejscowości Mahina. Tutaj znajduje się jeszcze jeden most kolejowy przerzucony nad rzeką (rzeka jest tak szeroka i głęboka, że nie ma żadnych szans na pokonanie jej wpław). Decydujemy się na pokonanie mostu samochodem, mimo że jego nawierzchnia jest typowo kolejowa. Odnosimy jednakże wrażenie, że pokonywanie piesze, motorowerami czy samochodami tego mostu jest na porządku dziennym, więc jakoś się przebijamy. Stąd mamy już tylko kilka km do Bafoulabe. Tutaj – możliwe – zacznie się dobra droga, więc nieco przyspieszymy – pojawia się szansa, że jednak zdążymy do Dakaru na czas.

Docieramy do przystani promowej – zatrzymujemy się – chcę zrobić kilka zdjęć rzeki Senegal. Piękna potężna rzeka nie pasująca do afrykańskich klimatów (przynajmniej do tych, które mieliśmy do tej pory okazję poznać). Zaczepia nas obsługa promu. Otrzymujemy od chłopaków z przeprawy informację, że po drugiej stronie rzeki jest dobra droga. Nasz GPS mówi jednak coś innego. Pewnie jednak zaryzykowalibyśmy podróż po drugiej stronie, gdyby nie fakt, że promowcy za przeprawę chcieli wyłudzić równowartość ponad połowy baku paliwa. To przeważyło – ruszamy w drogę wg GPS-a. Początkowo droga wygląda dobrze – cieszy nas to, zwłaszcza, że wg mapy droga jest zaznaczona jako szczególnie niebezpieczna i trudna do pokonania. Myśleliśmy, że to już historyczny zapis na mapie. Zagadnięci mieszkańcy miejscowości informują nas, że do Kayes powinniśmy tą drogą dotrzeć w 4 godz. Niestety, myli się. My zresztą również.

Droga cały czas biegnie wzdłuż rzeki Senegal, nie sposób ją więc zgubić – doskonały punkt orientacyjny. Kilka km za Baroulabe zaczyna się najgorszy i najdłuższy odcinek drogi, jaki mieliśmy okazję do tej pory pokonać. Średnia prędkość jazdy spada nam poniżej 5 km/h, wiele odcinków pokonuje sam, a dziewczyny pomagają mi się zmagać z trudnościami terenu. Mamy dość – jesteśmy wykończeni. A upał cały czas nam dokucza. Na szczęście „Dyskoteka" radzi sobie nad wyraz dobrze. Mijamy kilka osad, a w pobliżu jednej z nich zatrzymujemy się na krótki odpoczynek. Znajdujemy sobie mały cień w pobliżu ogromnego baobabu i oddajemy się błogiemu (chociaż bardzo krótkiemu) lenistwu. Nieco dalej, za wioską Fukara, docieramy do miejsca, w którym na rzece mamy okazję podziwiać wspaniałe wodospady. Bardzo przyjemna atmosfera miejsca, chłód i przyjemna woda. Szkoda tylko, że nie mamy odwagi na kąpiel – mimo, że ochota jest wielka.
Zatrzymujemy się jeszcze na chwilkę, pod wielkim baobabem, gdzie wchodzę na samochód i zrywam świeże owoce baobabu – na pamiątkę.

Po jakimś czasie docieramy do wioski Diamou, gdzie znajdujemy asfalt na drodze. To prawie niemożliwe. Normalna droga – zacieramy ręce, ale radość trwa krótko – droga jest dziurawa jak ser szwajcarski, więc nie ma szans na szybszą jazdę. W sumie i tak poruszamy się znacznie szybciej niż do tej pory. Zatrzymujemy się, żeby zrobić kilka zdjęć i w pewnym momencie zauważam jadące za nami samochody. Przyglądam się rejestracji pierwszego z nich – jakaś taka znajoma. Wątpliwości rozwiewa kierowca – na środku pustyni spotykamy akurat czesko – słowacką ekipę jadą w trzy samochody, ale są pełni podziwu dla naszej samotnej eskapady. Robimy sobie pamiątkowe zdjęcia, pijemy po jednym słynnej śliwowicy (na lepszą jazdę i za miłe spotkanie) i ruszamy dalej. Początkowo jedziemy razem, ale oni jadą jak wariaci, więc w końcu znikają nam z oczu.

Późnym wieczorem docieramy w końcu do Kayes. Tutaj jest już cywilizacja, a wg mapy już do samego Dakaru mamy doskonałą drogę. Kilkanaście km przed Kayes gubimy drogę, ale spotykamy na odludziu Malijczyka, który oferuje nam pomoc – jedziemy cały czas za jego Nissanem. Doprowadza nas do samego miasta – a nawet pomaga znaleźć nam hotel. I to całkiem bezinteresownie. Jako że jest to już ostatnia noc Asi w Afryce pozwalamy sobie na małe szaleństwo i kwaterujemy się w czterogwiazdkowym hotelu. W końcu raz się żyje.

Zaczyna się ostatni dzień Asi w Afryce. W planach tylko ostra jazda do Dakaru. Droga z Kayes do granicy jest zaprzeczeniem tego co do tej pory widzieliśmy w Mali. Jest to doskonała droga, której Niemcy by się nie powstydziły (chyba nawet została przez Niemców zbudowana). Problemy zaczynają się dopiero na granicy. Wjazd do Senegalu jest dość czasochłonny, zwłaszcza, że posterunek policji jest dość mocno oddalony od granicy i tracimy sporo czasu na jego odnalezienie. Potem już tylko jazda. Początkowo droga jest w niezłym stanie, ale później zdecydowanie się pogarsza. I tak ciągnie się przez ponad 150 km. W końcu droga się polepsza, więc późnym wieczorem docieramy do Dakaru.

Kierujemy się na dzielnicę Yoff, gdzie znajduje się lotnisko. Przed odwiezieniem Asi mamy jeszcze czas na wspólną ostatnią kolację. Potem lotnisko, pożegnanie i zakończył się jeden z etapów podróży.

Po wczorajszych lotniskowych wrażeniach, pozwalamy sobie na „labę" – pomy rzucie do godziny 10. Jest to nasz pierwszy nieco luźniejszy dzień od blisko miesiąca. W końcu zmęczenie dało o sobie znać. Do, ale ile czasu można na wycieczce spędzać w hotelowym łóżku. W końcu i nam zebrało się na ruszyliśmy na dość późne śniadanie. A po śniadaniu obudziliśmy naszą dzielną „Dyskotekę" i ruszyliśmy do